

o niebywalej kulturze osobistej, skromnym człowiekiem, ujmującym przez swoją płeć i podejmowane dylematy. Zarazem jednak na każdym kroku odbieraliśmy Panią Profesor jako osobę pełną energii w dążeniu do pokonywania przeszkód i problemów w obronie czci dla życia, i jako osobę pełną życzliwości.

Panią Profesor Iję Lazari-Pawłowską poznałem 25 lat temu podczas studiowania filozofii na Uniwersytecie Łódzkim. Pracowałem wówczas jako lekarz w Klinice Ostrych Zatruc Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi, gdzie zajmowaliśmy się między innymi przywracaniem do życia i zdrowia pacjentów w stanie śpiączki, najczęściej po samobójczych próbach zatrucia. Na jednym z seminariów z etyki zwróciłem się z zapytaniem, czy mógłbym napisać pod Jej kierunkiem pracę magisterską. Pani Profesor przyjrzała mi się uważnie, z charakterystycznym, delikatnym, przyjaznym uśmiechem, a po wysłuchaniu, czego praca miałaby dotyczyć, zaproponowała następne spotkanie w swoim mieszkaniu na Wierzbowej. W profesorskim domu wypełnionym po sufit książkami, w ciepłej atmosferze, rozmowy wokół pracy magisterskiej na temat etycznych aspektów samobójstwa nierzadko schodziły na zagadnienia związane z etyką zawodową. Pani Profesor z uwagą przysłuchiwała się problemom związanym z pracą lekarzy i pielęgniarek, która niejednokrotnie przypomina walkę o zdrowie czy życie chorych, słuchała o losie przegranych w tej batalii, relacjach powstających między chorym i lekarzem oraz między lekarzami, napięciach w samej instytucji, jaką jest szpital. Kiedy wypowiadała swoje odczucia czy opinie, koncentrowały się one zazwyczaj wokół sumienia, według którego należy postępować, co było zgodne i z moim punktem widzenia, i tym, czego oczekiwałem od niej. Byłem prawdopodobnie jednym z ostatnich Jej magistrantów. Dziesięć lat później, kiedy rozpocząłem pracę z nieuleczalnie chorymi dziećmi, szczególną grupą wykluczonych, humanistyczne idee, które propagowała Pani Profesor, stały się źródłem systemu etycznego, w oparciu o który budowałem hospicjum, tj. szacunku dla życia, szacunku dla chorego i jego najbliższych, czynienia dobra, nieczynienia zła, akceptacji nieuchronności śmierci i sprawiedliwego podziału dostępnych środków. Za to, przy tej okazji, bardzo Jej dziękuję.

ANDRZEJ ZALEWSKI

### **Trzy wspomnienia o Profesor Pawłowskiej**

Tę garść wspomnień spisanych poniżej traktuję jako częściową przynajmniej spłatę długu wdzięczności, który mam wobec Pani Profesor Iji Lazari-Pawłowskiej. Gdyby nie jej wydatna pomoc i wsparcie w kluczowym okresie mojego życia, nie byłoby mnie dzisiaj – co mówię z pełnym przekonaniem – w tzw. naukowym światku, a moje życie potoczyłoby się inaczej. Jak? – Tego nie wiem. Z pewnością wartość paru wspominków jest niewspółmiernie mała wobec wartości dobra, jakiego

doświadczyłem ze strony Pani Profesor, ale to jedyna forma spłaty długu, jaka przychodzi mi w tym momencie do głowy.

### **Pierwsze wspomnienie**

W latach 70. brałem udział, jako student filozofii UŁ, w zajęciach Pani Profesor z etyki. Nie pamiętam już dokładnie, czy były to konwersatoria czy seminaria, i jak układały się między nimi proporcje, zresztą nie ma to znaczenia. Duch na zajęciach panował wolnomyślicielski, skłaniający nas do zajmowania postawy opozycyjnej względem panującego ustroju – często np. padało nazwisko Leszka Kołakowskiego, wtedy przecież wyklętego przez władze, a znanego Pani Profesor osobiście. Ta opozycyjność nigdy jednak nie pojawiała się zamiast tematyki ściśle merytorycznej, a tylko i wyłącznie przy jej okazji. Po prostu Pani Profesor stwarzała taką przestrzeń wolności, że na jej zajęciach nie istniały tematy tabu; można było udzielić każdej odpowiedzi na stawiane pytanie i przyjąć dowolny punkt widzenia, byle tylko, oczywiście, móc ten punkt widzenia i tę odpowiedź w miarę sensownie wypowiedzieć. Dawały więc nam te zajęcia pełne poczucie bezpieczeństwa, co przy problematyce ocierającej się siłą rzeczy o jakieś światopoglądowe uwikłania miało ogromne znaczenie. Przychodziły zresztą na nie i osoby z zewnątrz, niekoniecznie tylko studenci filozofii. Dla nas, którzy mogliśmy mówić, co kto chciał i co komu przyszło na myśl, była to sytuacja komfortowa, dla Pani Profesor, która na to pozwalała, a nawet zachęcała do takiego udziału, chyba znacznie mniej. Choć o kłopotach, jakie miała z tego powodu, mówiła rzadko, niechętnie i raczej półsłówkami.

Wolność, którą Profesor Pawłowska przyznawała swoim słuchaczom, przenosiła się też na inne sfery. Wiem coś o tym, bo będąc promotorem mojej pracy magisterskiej o fenomenologicznych podstawach godności – pierwszego filozoficznego tekstu, jaki napisałem w życiu – dała mi całkowicie wolną rękę. Widząc, że praca nad rozprawą jakoś tam posuwa się do przodu, nie ingerowała, choć wobec innych potrafiła być bardziej drobiazgową. Potem wyrzucała mi tylko, że nie zrobiłem z tekstu tej rozprawy żadnego artykułu ani noty i jeśli nawet nie przepadła ona gdzieś ze szczętem, spoczywa dziś przykryta stupudową warstwą kurzu w jakimś archiwum Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ. Zresztą może i lepiej, bo gdyby dane mi było odświeżyć sobie pamięć o niej, zapewne wstydziłbym się po latach swojej ówczesnej naiwności.

### **Drugie wspomnienie**

W 1991 roku obserwowałem z widowni uroczystość jubileuszu siedemdziesiątych urodzin Profesor Lazari-Pawłowskiej. Przybyli na nią przedstawiciele władz rektorskich i dziekańskich łódzkiej uczelni, zjechali zaproszeni goście, przemówienia sypały się jak z rogu obfitości, wszystkie pełne szacunku i uznania, choć – co jest chyba nieodłączne od takich okazji – naznaczone też pewną dozą oficjalnej sztywności. Wreszcie głos zabrała Pani Profesor. W odróżnieniu od tamtych, niekiedy

bombastycznych wystąpień, mówiła lekko i bezpretensjonalnie, ale powiedziała w trakcie tego jedno zdanie, które zapamiętam na zawsze: „Proszę Państwa, ja przecież nie jestem żadnym wielkim naukowcem”. Powiedziała to uczennica Marii Ossowskiej, osoba będąca autorytetem dla wszystkich, którzy tego dnia zgromadzili się w auli Uniwersytetu Łódzkiego: „Proszę Państwa, ja przecież nie jestem żadnym wielkim naukowcem”. Rzuciła te słowa mimochodem, bez niepotrzebnej kokieterii, nieco żartobliwie, żeby nie zbulwersować przybyłych gości, ale widać było, że może rada, by wyrwać się z obręczy urzędowych pochwał i powrócić do świata bardziej spontanicznych ludzkich reakcji.

Nie jest to jedyny zapamiętany przeze mnie przypadek, gdy Pani Profesor potrafiła okazać krytyczny dystans w stosunku do siebie samej. Pamiętam, jak na zajęciach przyznała, że nie jest zadowolona z redakcji zbiorowego tomu *Metaetyka*, który się jakiś czas temu ukazał, zresztą i tak wówczas na naszym gruncie pionierskiego. Wkład pracy autorów wypowiadających się w tym tomie, a także jakość ich wypowiedzi potrafiła docenić, ale rezultatów swojej pracy redakcyjnej nad nim – już nie.

Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do jubileuszu 70-lecia, bo w jego trakcie Pani Profesor złożyła też podziękowania pracownikom i współpracownikom, wśród których się obracała, i nawet pamiętam, jakimi słowami to zrobiła: „Swoim współpracownikom dziękuję za to, że mogę się wśród nich czuć bezpiecznie”. Zwracam uwagę: nie podziękowała np. za wysoką jakość merytoryczną prac (której potrzeba dla jej współpracowników była zresztą oczywista) czy szlachetne współzawodnictwo, ale za poczucie bezpieczeństwa. Tym samym dowiodła, że wie, jakie rzeczy w przebywaniu ludzi ze sobą są najważniejsze. Gdyby dziś żyła, z tym naciskiem na potrzebę bezpieczeństwa w międzyludzkich kontaktach byłaby postacią z zupełnie innej bajki, tak jak – obawiam się – była nią już w tamtych czasach.

### **Trzecie wspomnienie**

Jakoś niedługo po jubileuszowej uroczystości wybrałem się do mieszkania Pani Profesor, żeby ją osobiście zaprosić na konferencję naukową, którą organizowaliśmy w Częstochowie. Już od pierwszych chwil rozmowy słyhać było zza drzwi chrobotanie i skomlenie psa, najwidoczniej bardzo niezadowolonego z faktu odseparowania go od rozmówców. „Ona cierpi” – powiedziała Profesor o swojej pupilce, jak się okazało, tak zaprzyjaźnionej z rodzajem ludzkim, że przeżywającej katusze, gdy nie było jej dane osobiście przywitać się z gościem. Wreszcie, gdy oznaki psiego dyskomfortu stały się zbyt natarczywe i nie dało się spokojnie rozmawiać, Pani Profesor wstała i otworzyła drzwi do pokoju. Wtedy wystrzeliła ku mnie najelektryzowana kula psiej radości, wskoczyła mi na kolana i zaczęła mnie lizać po twarzy z takim impetem, jakby chciała mnie zlizać do cna. Po kilku minutach tych czułości psiak został jednak zabrany, ale był już spokojny, bo zrobił, co do niego należało. W warstwie zdarzeniowej ta historyjka z sympatycznym czworonogiem

może wydawać się zaskakująca z dość oczywistego powodu. Wiemy dobrze, jak potrafią zachowywać się psy, gdy obca osoba przekroczy próg „ich” domu. Dlatego nie mam wątpliwości, że ten pies wychowywany był w jakimś specjalnym reżimie życzliwości wobec nowo przybyłych, a może po prostu udzieliła mu się częśćka tej życzliwości, jaką osoba Profesor Pawłowskiej emanowała na co dzień w sposób naturalny.

Ale powyższy epizod ma też głębszy sens, który w żargonie akademickim nazywa się jednością teorii i praktyki. W końcówce lat 70. przeszedłem przez cykl zajęć Pani Profesor na temat praw zwierząt. Była to dla nas wtedy egzotyka, bo chyba nikt więcej z polskich etyków nie zajmował się jeszcze tą problematyką, ja przynajmniej o nikim takim nie słyszałem. Jakkolwiek jednak byłaby ona niezwykła, wiadomo było, że na zajęciach nie chodziło tylko o znalezienie rozwiązania dla pewnego frapującego problemu teoretycznego. Wszyscy wiedzieli, że Pani Profesor obca była taka postawa budowania teorii dla samej teorii – jeśli przez to rozumieć odcięcie czysto intelektualnej refleksji od całości prywatnego życia badacza. Wszelkie tematy pochłaniające Profesor Pawłowską, czy była to kara śmierci, etyka Gandhiego czy właśnie kwestia praw zwierząt, poświadczała głęboko osobistym, emocjonalnym zaangażowaniem w ich realizację, przekładała – jak tego dowodzi ów przykład z psem – na jednoznaczne postawy praktyczne wynikające z wyborów w sferze teoretycznej. Można też przeprowadzić odwrotne rozumowanie, kto wie, czy nie prawdziwsze: pasje teoretyczne Pani Profesor były bardzo już przetworzonym efektem jej zwykłej dobroci serca, której promieniowanie musiał odczuć każdy, kto choćby przelotnie zetknął się z jej osobą. Czasem myślę nawet, że etyka dlatego właśnie stała się główną dziedziną działalności akademickiej Pani Profesor, że tu integracja pierwiastka teoretycznego i praktycznego zachodzić może w sposób naturalny, a każdy uczony sofizmat i teoremat jest, a przynajmniej może być, co najwyżej środkiem w doskonaleniu własnego człowieczeństwa, bardziej niż w innych naukach. Dlatego tak trudno wyobrazić sobie Panią Profesor jako „czystego” filozofa; była przecież żywym ucieleśnieniem zasad etycznych, takim, można powiedzieć, człowiekiem-etyką.

Profesor Pawłowska przyjęła zaproszenie i konferencja w Częstochowie odbyła się z jej udziałem. Później, po jej śmierci, przypomniałem sobie wyraźne oznaki zmęczenia, jakie podówczas zdradzała i połączyłem to z jej chorobą, najwidoczniej dającą już w ten sposób znać o sobie. Ale wtedy nic jeszcze o niej nie wiedziałem.

\*

Moje prywatne kontakty z Profesor Pawłowską nigdy nie były zbyt częste. Chyba mnie lubiła i okazywała to, ilekroć się spotykaliśmy, ale Pani Profesor lubiła wszystkich! Nie miałem natomiast zaszczytu należeć do grona jej bliskich współpracowników ani też, tym bardziej, zaliczać się do kręgu osób z nią zaprzyjaźnionych. Wkraczamy

tu jednak w materię spraw nader delikatnych, w których kryteria ilościowe nie mają znaczenia. Czasami jedno krótkie spotkanie z kimś potrafi zmienić całe życie. Dlatego mogę o sobie powiedzieć, że te nieczęste kontakty z Profesor Pawłowską ukształtowały mnie w stopniu znaczącym. Bez nich nie tylko moje życie toczyłoby się inaczej, ale też ja sam byłbym pewnie kimś innym niż jestem.

#### BRONISŁAWA KOPCZYŃSKA-JAWORSKA

Chciałam powiedzieć, że niestety byłam za stara, żeby chodzić na zajęcia Pani Profesor. Pamiętam Ją jako koleżankę na radach wydziału, na jakichs zebraniach uniwersyteckich. Czasem spotykałyśmy się w plenerze w czasie naszych wakacji w Zakopanem czy gdzie indziej. Była to osoba niezwykle urocza, która umiała nawiązać kontakt właściwie z każdym. Poza tym, że miała bardzo piękne oczy, cechowała Ją zawsze taka koncentracja spojrzenia i takie oczekiwanie, co też Ona ciekawego od danej osoby usłyszy. To było niezwykle sympatyczne.

Chciałam tu też przypomnieć, że żyliśmy w dość burzliwych czasach, nie zawsze przyjemnych. W tej gromadzie profesorów Pani Profesor nie robiła wrażenia buntownika czy przywódcy, była raczej dość spokojna i cicha, rzadko zabierała głos, ale chciałabym tu przypomnieć jej niezwykle rolę, jaką odegrała na radzie Wydziału Historycznego, na której wtedy wspólnie byliśmy. Otóż w niesławnych latach 60. nastąpił taki moment, że zapanowały jawne dyskusje personalne na radzie wydziału i osoby zainteresowane czy będące obiektem tych rozpraw były obecne; nawet nie pozwalano im wyjść z sali w tym momencie, kiedy na ich temat toczyła się dyskusja. Jak dalece było to nieprzyjemne, i poza tym miało określone skutki, bo ludzie mówili rzeczy, których nie myśleli, ze względu na to, że się bali - wiem z własnego doświadczenia - potrafili potem przyjść do danej osoby i usprawiedliwiać się w cztery oczy, że „pani rozumie, ja musiałem” czy „ja musiałam” - było to bardzo nieprzyjemne. Otóż Pani Pawłowska zrobiła rzecz nadzwyczajną, mianowicie były to już chyba lata 70., więc minął pierwszy okres takiej dzikiej walki, który panował przez pewien czas, i była sprawa personalna, nie pamiętam nazwiska, jakiegoś młodego kolegi z Instytutu Historii, jakiś awans na stanowisko, dajmy na to, starszego asystenta, rzecz, nie powinnam może mówić: błaha, zapewne dla niego istotna, ale dla wydziału niespecjalnie ważna, sprawa nie budziła żadnych wątpliwości co do jej zasadności. I w tym momencie Pani Profesor Pawłowska poprosiła o głos i powiedziała: „Proszę Państwa, ja bym zaproponowała może, żebyśmy sprawy personalne załatwiali pisemnie i tajnie, a nie otwarcie”. To był koniec rady wydziału, wszyscy byli bardzo zmęczeni, wobec tego powiedzieli: „Dobrze, dobrze, tak, tak, kto ma kartki, kto ma papier, pani sekretarz nam pozwoli” i tak dalej. Był to moment szalenie ważny dla życia uniwersyteckiego, bo w tym momencie zahamowało się to potworne bezhołowie, które panowało przedtem, no i te tortury, jakie szeregi osób